

## Rycerz polskiej sprawy



rojanke. Napis na budynku stacji kolejowej, okopcony dymem z parowozów, był ledwie widoczny. Kiedy pociąg stanął, ksiądz Maksymilian Grochowski pospiesznie wysiadł. Obawiał się, że na tej niewielkiej stacyjce kolej zatrzymywała się tylko na chwilę. Istotnie, po kilku minutach został sam na peronie, rozglądając się za podwodą, która tu miała na niego czekać. Wszak do Głubczyna, gdzie skierowano go, by objął parafię katolicką, był jeszcze szmat drogi.

Poczuł chłód, który sprawiał porywisty wiatr. Poły płaszcza uniosły się jak skrzydła kruka, szykującego się do lotu, ale szybko opadły, gdy kapłan zapiął guziki. Podróż nie trwała długo, mimo to utrudzony przesiadkami i ciężką walizką, w której znajdował się cały jego dobytek, przysnął nieco w wagonie. Teraz więc trząśnięcie z zimna.

- Wasza przewielebność ksiądz Maksymilian? - usłyszał nagle głos zza pleców.

- Tak, to ja - odpowiedział, po czym się odwrócił.

Przed nim stał wysoki mężczyzna z czapką w rękę. Schylił się i pocałował Maksymiliana w pierścień na palcu.

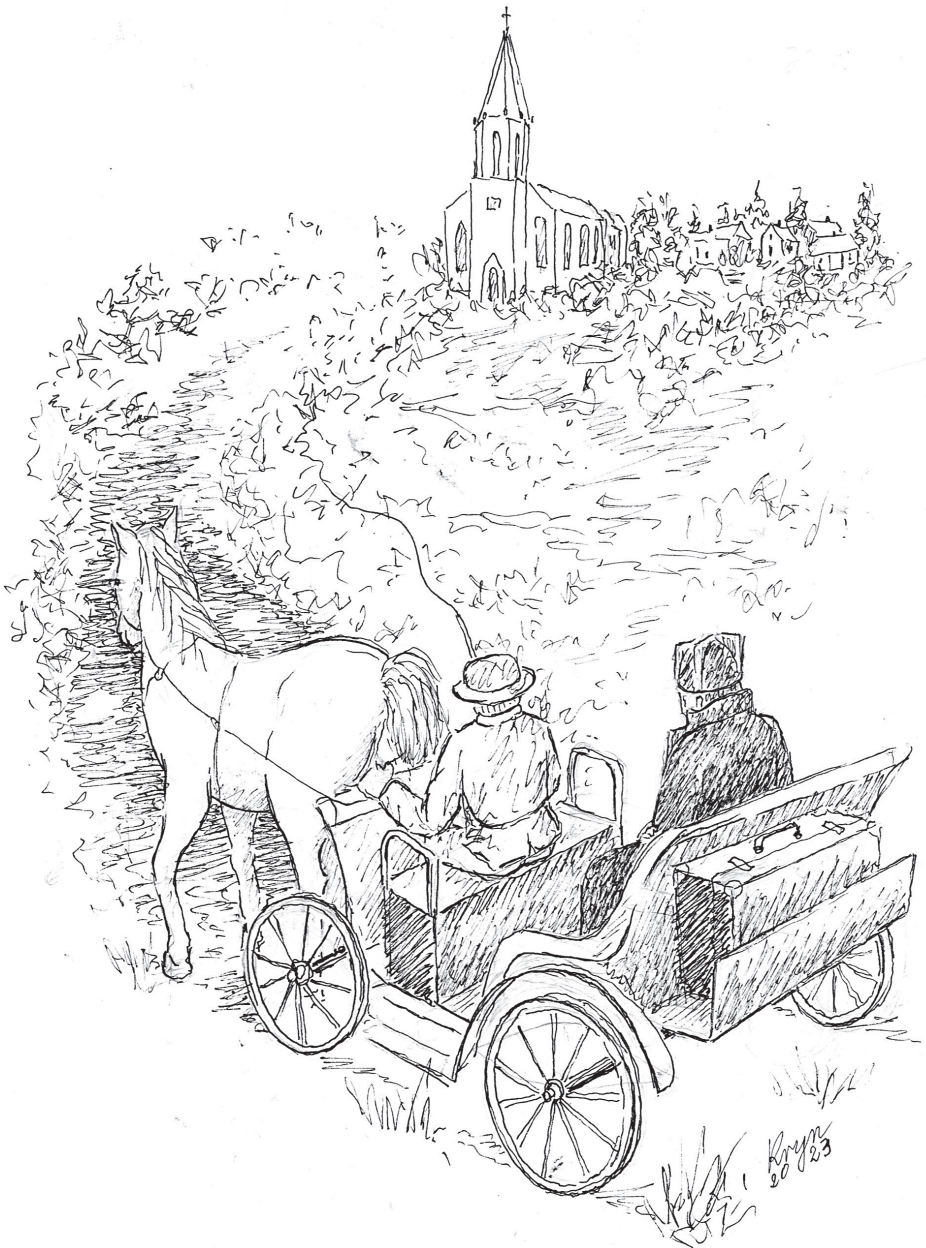
- Mnie po księdza proboszcza przysłali - rzekł chłop, po czym wziął walizkę i poszedł ku bryczce, stojącej na placu przed dworcem.

Powóz był stary, zdezelowany, ale czysty. Znać, że przed wyjazdem starannie go wypucowano. Chłop okrył kocem nogi księdza, który ciągle drżał z zimna, a sam usiadł na koźle. Świsnął batem i konie ruszyły leniwie.

Kiedy opuściwszy miasteczko, znaleźli się na bitej drodze do Głubczyna, woźnica wyraźnie zniecierpliwiony długim milczeniem, zagadał do księdza:

- Proboszcz Jankowski czeka na waszą przewielebność. To dusza człowiek. My we wsi żałujemy, że odchodzi. Osiemnaście lat u nas był proboszczem, ale tak już musi być, że jedni odchodzą, a nowi, młodszy ich zastępują - dodał filozoficznie. Mówił twardą polszczyzną z gardłowym „r”, co sprawiło, że Grochowski spytał:

- A wy, dobry człowieku, jesteście Polakiem czy Niemcem?



- Ja tutejszy, katolik. Mnie w domu matka pacierza po polsku czytała. Ale po niemiecku też umiem. U nas na wsi więcej Niemców niż Polaków, ale w zgodzie żyjemy, choć pruscy urzędnicy wiele robią, żeby nas poróżnić. Niemiec u nich ważniejszy niż Polak, to i wielu na Prusaków się przefarowało.

Duchownego nie zdziwiły narzekania woźnicy. Był rok 1908, czas intensywnej germanizacji dawnych ziem polskich. Ksiądz Grochowski, urodzony na Kociewiu, na własnej skórze poznał, co znaczyło być Polakiem w państwie pruskim. Wiedział też, że oprócz ewangelizacji czeka go tu trudna misja podtrzymywania i utrwalania ledwie już tłęcej się na tych ziemiach polskości.

Pochodził z licznej inteligenckiej rodziny. Jego dziadek i ojciec byli nauczycielami, stąd u Grochowskich tak bardzo przywiązywano wagę do wykształcenia, połączonego z kształtowaniem postaw patriotycznych. Edukacja Maksymiliana rozpoczęła się od wiejskiej szkoły, którą kierował jego ojciec. Następnie był uczniem niższego gimnazjum, Collegium Marianum w Pelplinie, a potem gimnazjum w Starogardzie Gdańskim. Tu zdał maturę, po czym wybrał studia w seminarium duchownym w Pelplinie. Po przyjęciu święceń kapłańskich pełnił posługę jako wikariusz, by po dziesięciu latach dostać probostwo w Głubczynie.

- Wreszcie na swoim - mruknął do siebie, gdy wjeżdżali do wsi, nad którą dominowała wieża kościoła pod wezwaniem Świętej Trójcy.

Wtedy nie mógł wiedzieć, że spędzi tu ponad trzydzieści lat życia.



- Parafia jest stara, założona przez cystersów, ale sam kościół stonkowo nowy, w stylu neogotyckim. Ufundowali go przed trzydziestu laty Bojanowscy - opowiadał Grochowskiemu ksiądz Józef Janowski, gdy po obiedzie i przekazaniu dokumentów parafii usiedli na werandzie plebanii, popijając zbożową kawę.

- Czekaj księdza, trudne zadanie, a na siłacza mi ksiądz nie wygląda. Relacje polsko-niemieckie układają się źle - perorował. - Każde dążenie Polaków do wzmocnienia swojej tożsamości narodowej powoduje represje. Dlatego miejscowi Polacy ulegają germanizacji. Niemcy was tu zjedzą - przestrzegął swego następcę, zanim opuścił Głubczyn.

Ksiądz Jankowski pomylił się. I to bardzo. Maksymilian Grochowski mimo mizernej postury, słabego zdrowia i spolegliwego charakteru nie dał się zjeść Niemcom. Na swój sposób, ale skutecznie bronił parafian przed coraz agresywniejszą niemczyzną.

Kiedy po I wojnie światowej rozstrzygały się losy Złotowszczyzny, spowodował wysłanie do Poznania i Warszawy, delegacji która przedstawiła sytuację ludności polskiej na zachodniej Krajinie. Potem sam stanął przed Międzynarodową Komisją Graniczną, obradującą w Krajence, by w imieniu miejscowych Polaków domagać się włączenia ich ojcowizn w granice II Rzeczypospolitej. Tę walkę przegrał. Złotów, Krajenska i jego Głubczyn znalazły się w granicach państwa niemieckiego.



Salka katechetyczna wypełniona była księżmi z całej przydzielonej Niemcom Złotowszczyzny. Ksiądz Bolesław Domański, proboszcz z Zakrzewa, który był niepisany przywódcą miejscowej Polonii, zaprosił na to spotkanie tylko katolickich kapłanów polskiego pochodzenia. Teraz chodził nerwowo wokół stołu i, wymachując rękoma, głośno rozprawiał.

- Nie możemy do tego dopuścić. To skandal, że są działacze polonijni, którzy namawiają do wyjazdu „za kordon”. Zdradę narodową popełnia ten, kto opuszcza swoją ojcowiznę. Trzeba to wiernym mówić podczas każdego kazania. Pamiętajcie, polski ksiądz to dziś jedyna ostoja polskości, zwłaszcza na wsi.

Domański był oburzony faktem, że po wytyczeniu granicy, w ramach wymiany ludności, wielu Krajniaków sprzedawało swe gospodarstwa i wyjeżdżało to Polski.

- Do cna zgermanizują tę ziemię - denerwował się. - Trzeba wystosować apel w tej sprawie.

Zebrani zgodzili się z ojcem patronem, jak go nazywali, choć wielu z nich wiedziało, że jest już za późno, a ich apel nie będzie tak skuteczny, jak chciałby proboszcz z Zakrzewa.

- Jeśli wierzyć niemieckim danym, to liczba ludności polskiej w powiecie złotowskim zmniejszyła się z 17 do 7 tysięcy - rzekł któryś z księży.

Wtedy odezwał się milczący dotąd Grochowski. Rzadko zabierał głos. Nie był retorem tak jak ksiądz Bolesław, ale ceniono go za analityczny umysł i rozwagę.

- Trzeba nam powrócić do tego, co czynili nasi bracia w Wielkopolsce przez cały poprzedni wiek. Praca u podstaw. To teraz nasze zadanie. Organizować instytucje i stowarzyszenia polonijne, a zwłaszcza polskie szkoły. To teraz jedyny sposób, by wierni nie ulegli germanizacji. I jeszcze jedno - podkreślił z naciskiem. - Należy działać rozważnie, nie antagonizować ludzi. Powinniśmy być dobrymi pastorzami zarówno dla polskich, jak i niemieckich katolików.

Zebrani posłuchali jego rady i „tam, gdzie był proboszczem Polak, tam polskość się utrzymała i na nic się zdała wszelka propaganda niemiecka”. Zdanie to, pochodzące z pamiętników Władysława Maćkowicza, polskiego nauczyciela z pogranicza, idealnie wpisało się w działalność ks. Maksymiliana Grochowskiego. Proboszcz z Głubczyna był w okresie międzywojennym organizatorem i działaczem wielu polonijnych stowarzyszeń, parał się nawet dziennikarstwem, ale nade wszystko organizował polskie szkoły. Najpierw w Głubczynie na przejętym od Wojciecha Hermanna gruncie, potem aż w 29 innych miejscowościach objętych działalnością V Dzielnicę Związku Polaków w Niemczech. Uczyło się w nich około 1500 polskich dzieci.

O siebie ksiądz Maksymilian nie dbał. „Nasz proboszcz był bardzo biedny, bo wszystkie pieniądze albo rozdawał ubogim rodzinom wielodzietnym, albo kładł do Związku Polaków” - wspominała Marta Banach, mieszkanka Głubczyna.



Gestapo przyszło po niego jedenastego dnia wojny. Najpierw zamknęli go w złotowskim więzieniu, a potem przenieśli do obozu dla jeńców cywilnych „Albatros” w Pile. Był stary i schorowany, mimo to niemieccy strażnicy, gdy dowiedzieli się, że mają do czynienia ze znanym kapłanem, uczynili z niego przedmiot okrutnych zabaw. Katorżony i głodzony, był w takim stanie, że nie nadawał się nawet do transportu do obozu koncentracyjnego. Wreszcie dzięki koneksjom Heleny Jasińskiej z Piły umierającego księdza udało się wyzwolić z łap hitlerowskich oprawców.

„Jak weszłam do baraku - wspominała po latach Helena Jasińska, której słowa zapisał Marek Fijałkowski - więźniowie leżeli na słomie rozłożonej na podłodze. Gestapowcy patrzą, jak ja reaguję. Pytam: który to ksiądz Grochowski? Pokazują. Wyglądał strasznie, cegły nosił, ustępy czyścił, okulary mu zbili, więc nic nie widział. Wniesiono mi go do samochodu. Pojechaliśmy do domu. Tam dałam mu kieliszek wina i pojechałam po fryzjera Franciszka Krzyżanowskiego. Następnie przywiozłam siostry zakonne, Niemki mówiące po polsku, które go umyły i ułożyły na łóżku, karmiły go kleikami. Sprowadziłam lekarza Niemca, który ze strachu przychodził tylko wieczorami. Gestapo stało pod domem”.

Ksiądz Maksymiliana nie udało się uratować. Jasińska zawiozła go do szpitala sióstr elżbietanek w Tucznie, gdzie zmarł 7 listopada 1939 roku Jego zwłoki przewieziono do Głubczyna. Pogrzeb był bardzo skromny, bez udziału rodziny i mieszkańców. Dopiero po wojnie zasługi duszpasterza z Głubczyna zostały docenione, a miejscowa szkoła, w powstanie której włożył tyle wysiłku, nosi teraz jego imię.